№ 6.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.



Warszawa, dnia 30 Stycznia / 11 Lutego 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

STAROŚĆ.

(*Dalszy ciąg*).

Starzec-samolub, — który ziarno garnął dla siebie a kąkolem tylko dzielił się z bliźnim, nierad starości, bo po za egoizmu grzechem nie widzi prawdy i przeznaczeń swoich.

Dzień samoluba jest długą i pochmurną nocą, a gdy gdzieniegdzie zamigoce jaka gwiazdka w przelocie, chciałby sam jeden blask jéj spożytkować i w jałowiźnie swego serca przygasić nazawsze. Starość samoluba jest zawsze mroczną, gdyż młodość jego zatrzymana u progów uczucia, zwarła się w cieniach egoizmu, przygotowując starość nudną, jałową i wstrętną jemu samemu.

Starzec-próżniak, — który przegawronił bezczynnie swą młodość, płochém okiem spogląda na starość, jak gdyby czuł że niewart szacunku ani jego włos siwy, ani lat brzemię.

Starzec-próżniak wytrąca się z szeregu dziedziców dziejowéj przeszłości, gdyż nikt go nie woła do zbierania ni róż, ni cierni dni i lat ubiegłych. Praca, ta święta powinność człowieka, ma próżniaka za zero, bo do jéj plonów nie ma prawa stanąć.



Szpital Ś-go Ducha w Warszawie. (Str. 42).

II.

Kobiety najbardziéj lękają się starości, pragnąc wiecznego Maja, pączków, puszków, motylków, a na owoce i ziarna nie każdéj wystarczy.

Gdy całe życie kobiety zamknie się tylko w pączku, w starém dzieciństwie dognić musi bez barwy i powagi. Jéj starość jest igraszką świata, zlepkiem świecidełek, z których już szydzą zefiry i amorki. Z niedojrzałém sercem, z sierocym umysłem, z duchem bez wiedzy własnéj, całe życie w pieluchach, pączkiem idzie do grobu i pączkiem chciałaby zmartwychwstać.

Gdy kobieta zamłodu jest tylko puszkiem, gdy na świecidłach i kwiatkach uczy się ewangelji i historji ludzkiéj, staje się na starość łupiną, którą czas i ludzie rzucają w śmietnisko.

Gdy życie kobiety jest tylko pląsem z motylkami, zaważy tyle ile zwiędły liść róży. Dokoła takiéj kobiety motyle srebrzą się, kołują, wirują, a ona w pląsach z nimi maleje, niknie i ginie bez śladu, opłątana pajęczyną nudnéj i kwaśnéj starości.

Kobieta pragnąca szczęścia po za domową strzechą, nie obejmująca duszą chrześcijańskich obowiązków życia, błądzi, szuka, zbija się z prostéj drogi, jak ptaszę wyrzucone z matczynego gniazda. Gdy spotka się już z siwizną na krzywych manowcach bałamutnego żywota, narzeka na świat, na losy i gorzką swą starością uprzykrza się ludziom.

Kobiety pojmujące młodość tylko jako zabawy i gonitwy z uciechami świata, jako taniec z szałem, odrywającym od obowiązków życia, jako szum strumyka, nad którym miłośnie śpiewa słowik, jako ucztę, na któréj czara słodyczy w róż wieńcu z ust do ust się podaje, dożywają starości lichéj i cierpkiéj.

Kobieta piękna ciałem i duszą nie lęka się starości; choć pochylona laty, postać jéj wiekuistym jaśnieje wdziękiem. W domu i za domem szanują jéj włos siwy, a w tym zasłużonym szacunku, leży jéj czerstwość myśli i spokój sumienia. Co za młodu mieszkało we wnętrzu jéj ducha, występuje na starość widoméj, jako w chwili sądu świata i saméj siebie.

Sędziwość matki-chrześcijanki, jakże jest piękną i poważną; cnotliwe jéj potomstwo jest żywym obrazem moralności w czynie. Choćby przecierpiała w życiu najdotkliwsze bóle, twarz jéj pogodna i duch spokojny, a cnota gorejąca w jéj czułéj piersi, pokrzepia starość i uświęca ją, jakby księgą ustaw, według których niewiasta żyć i umierać powinna.

Kobieta sierota, co się we własném nie odrodziła potomstwie, lub wszystko co jéj najdroższe złożyła w grobie, dźwiga się z pod brzemienia boleści miłością dla bliźnich, ratując swe serce od odrę-

twienia, starość od sieroctwa. Wcielona w żywot współbratniéj rodziny, kocha ją jak własną, przyświeca jéj promieniem swéj czystéj duszy, czuwa nad całém domostwem, podziela troski i prace krewnych swego ducha, dźwiga wespół dobre i złe losy, a miłość, wiara i nadzieja, sieją kwiaty pociechy na ścieżkach jéj samotnego żywota i błogosławioną darzą starością. Umiera spokojnie, zostawiając oprócz grosza, gdy go posiada, cały spadek swéj cnoty w słowie i czynie, cały skarb swych zasad miłości, pojęć i wiary.

Kobieta-oświecona, — któréj czyste serce w piękne uczucia jak niebo w gwiazdy strojne, stawia wszystkie sprawy swojego żywota pod sąd serca i obowiązków religijno-społecznych. W prostym kierunku idzie ku światłu i swe potomstwo ku niemu prowadzi; przy ścisłém zaś a ochotném spełnianiu swych powinności, przy wytrwałéj a czułéj duszy poważa naukę jako szlak jasny, wiodący ku prawdzie bożéj. Umysł jéj wykształcony nie nadyma się pychą, lecz jak fijołek w zacieniu rozlewa woń miłą, nie zazdroszcząc hołdów i powodzeń nikomu. Kobieta oświecona ma tyle środków do uszlachetnienia swéj pracy, do umilenia życia domowym i saméj sobie, pojmując jasno stosunek swój do Boga, społeczności i rodziny.

Nauka właściwa kobiecie obecnego czasu, podnosząc jéj ducha, stawia ją obok cnoty, ofiary i jest rękojmią moralności i szczęścia domu. Jako żona, matka i obywatelka, spełnia swój obowiązek w dziejach społecznych, bo światło, ten dar boży, prowadzi ją i jéj rodzinę do coraz wyższego udoskonalenia.

Nauka i sztuka nie odrywa jéj od domowych zatrudnień, lecz je uzupełnia; światło nie uchyla jéj od kolebki i uczuć rodzinnych, lecz je uświęca i do społecznych podnosi. Dla kobiety oświeconéj dom jest szczęściem, jest cnót wzorem, jest arką najdroższych wspomnień, opromieniających jéj starość cnotliwą i poważną.

Kobieta-filozofka,—pozwala sobie pod osłoną młodzieńczéj naiwności, stojąc na podstawce wyczytanych formułek, lekceważyć wszystko, bawiąc swym dowcipem. I na wieniec z cierni i na girlandę z róż, patrzy tém samém szyderskiém okiem; i na czoło krwawym zroszone znojem, i na umajone roskosze kwieciem, rzuca słówko staréj satyry, młodemi uśmiechając się usty.

Ironia jest tak niewłaściwą młodości, jak zmarszczki na wiosenném licu. Moralne garby, rosnące z dniem każdym z tego zarodu, koszlawią młode serce, a satyra składając stary pocałunek na młodym czole, mąci jego pogodę, jak kamień wrzucony w czysty strumień wody.

Gdy taka kobieta z kolei matką zostanie, dzieci swoje chrzci atramentem, kołysze w kałamarzu, spowija w drukowane karty, karmi piórami; dla niéj domowe gniazdo jest jakimś zamglonym oceanem, wyrzucającym bezładne myśli i zasady. Kobieta co zeszła z drogi uczuciowéj na drogę rozumową i filozoficzną serwatką zalała sobie głowę, mało poważa chwilę w któréj słońce żywota ku zachodowi się skłania. Jéj serce nadpsute pychą, przeradza się w mech i wrzosy, po których jak upiory gonią sprzeczne myśli, zamieniając to serce, tę świątynię niewieściego szczęścia w pustkowie — gdzie coraz nowe omyłki grzebią się i zmartwychwstają.

W życiu kobiety-filozofki wszystko idzie pod sąd chorego na puchlinę pychy, rozumu, a blade widma miłości i wiary, strącone ze swego stanowiska aniołów-stróżów, błąkają się zdala niepoznane. Obowiązki niewieście u niéj są jakby kwiaty zasuszone w zielniku bezwonnéj i suchéj barwy, na któréj osiada starość kolczasta, cierpka i jałowa.

Kobieta-egoistka,—nie ma łzy dla bliźnich, nie utuli nieszczęścia, nie wierzy nikomu, nie pojmuje ofiary, nie obejmuje świata miłością, a ma go za spiżarnię, z któréj tylko dla siebie przeróżne wydostaje specjały.

Uścisk jéj ręki suchy, słowo chłodne, łza z przymusu lub z własnego bólu; jéj rozum jest światłem bez ciepła, grzeczność ziółkiem bez kwiatu; jéj młodość zimowém niebem, starość zeschłym, kolącym chwastem.

Do tego rodzaju należy gatunek jeszcze wyższéj ohydy: — *Kobieta—bez serca*,—lecz nie widzieliśmy go nigdy w społeczności naszéj, daj Boże i nie słyszeć o nim! W książkach naszych spotkaliśmy go kilka razy, mając do wyrzucenia autorom, że portrety jednostek, o których kraj nie wie i bytu ich nie domyśla się, podają nam za typy ogółowi znane; to jakby dedykacja potwornego dziecka matce — która go nie rodziła.

Należy jednak mieć się na baczności, aby z téj *samorządnéj emancypacji*, koszlawionéj na amerykańskie kopyto i ten gatunek nie zaczął się u nas wylęgać.

Nie tu miejsce na wyczerpujący rozwój tego przedmiotu; dosyć wiedzieć, że nawet i amerykańscy myśliciele trwożą się już o byt rodziny, jako podstawy społecznéj, gdy kobiety drą się do katedr, parlamentu, sądu i rządu.

Zbierając w jeden widok wszystkie tameczne dodatnie i ujemne strony, będzie to obraz nie budujący nikogo, nie pocieszający wielkiego ducha Franklina.

Cokolwiekbądź, grzechem jest przeciw rozumowi nawet, chcieć zmieniać swą głowę — choćby i na Platońską, — nie przyrośnie! — Pan Bóg wiedział co dał komu, a kogo jeszcze łaską swą obdarzył, dał mu prawo, moc i obowiązek kształcenia, nie zaś przenaturzania, całego jestestwa swego, podług rodowych potrzeb własnego ducha.

(d. n.)

DO MOJÉJ WNIEBOWZIĘTÉJ.

Czy znasz ten piękny kraj, płynący mlekiem, miodem,
Gdzie nieprzejrzany łan obfite złocą plony,
Gdzie wiosną każdy gaj, jak ogród ukwiecony,
I w koło każda wieś kwitnącym jest ogrodem?
Gdzie żyje dobry lud pobożny i bogaty,
Gdzie w cichy, biały rząd drewniane sterczą chaty?
Ach znasz ty, znasz ten kraj z uroczą tą ozdobą!
Tam niegdyś był mój raj, gdy byłem razem z tobą.

Czy znasz ten stary dom, com dźwignął go z ruiny,
I zdobił, stroił tak serdecznie pracowicie,
By lubym wdziękiem w nim otoczyć twoje życie,
Jak otaczały go — bzy, róże i jaśminy?
Gdzie każdy wchodził rad w gościnne nasze wrota,
I miły druh i brat i wdowa i sierota?
Ach, znasz ty, znasz ten dom z uroczą tą ozdobą.
Tam niegdyś był mój raj, gdy byłem razem z tobą.

Czy znasz ten smętny dom, jedyny na téj ziemi,
Co przecież własnym go nazywać mogę, dumny,
Com kupił szczęściem swém, poświęcił łzami swemi,
Gdzie życie byłbym rad postawił u twéj trumny,
Co ją w wiosenny kwiat i młode drzewka stroję,
Gdzie cały dziś mój świat i skarb i serce moje?...
Ach, znasz ty znasz ten dom z posępną tą ozdobą!
Tam znajdę znowu raj, gdy będę razem z tobą.

Adam Plug.

SZPITAL Ś-go DUCHA,

przy ulicy Elektoralnéj w Warszawie.

W roku 1856, z mocy decyzyi Najwyższéj, posesye położone przy ulicy Elektoralnéj w Warszawie, pod Nr. 750 i 751, poprzednio przez komorę składową zajmowane, przeznaczone zostały na wybudowanie nowego szpitala ś. Ducha.

Kamień węgielny rozpoczętéj budowy szpitala, na pomienionéj wyżéj miejscowości, położono przy akcie uroczystym w dniu 23 czerwca (5 lipca) 1859 roku.

Akt ten zaszczycony został obecnością J. O. Księcia Gorczakowa Namiestnika Królestwa i liczném gronem dostojnych osób.

Budowniczy rządowy Józef Orłowski, wspierany pomysłami J. W-go Tajnego Radcy Muchanowa, Dyrektora głównego Kommisyi R. S. W. i D. i posiłkowany wskazaniami tutejszych lekarzy, nakreślił pierwsze plany budowy szpitala. Wkrótce potem p. Orłowski odbywając podróż za granicę, obejrzał na miejscu szpitale wzniesione podług tegoż systemu w Londynie, Paryżu, Brukseli, Wiedniu, i t. d. dla zbadania jakie dogodności lub wady okazały się w praktyce zaprowadzonych tam urządzeń. — Po powrocie do kraju p. Orłowski poprzednie plany i anszlagi szpitala znacznie udoskonalił.

Dnia 15 (27) października 1861 roku zaczęto przyjmować chorych do nowego, jakkolwiek niewykończonego gmachu.

Uroczyste poświęcenie szpitala odbyło się dnia 14 (26) września 1862 roku, przez J. W-go Arcy-Biskupa Metropolitę Warszawskiego, Felińskiego.

Cały gmach szpitala składa się z trzech równolegle od siebie w ogrodzie postawionych pawilonów, — które wspólnym, szerokim, widnym a w zimie ogrzanym, połączone są korytarzem. W każdym

pawilonie urządzono dwie sale, jednę na parterze, a drugą na piętrze, w których od 25 do 30 chorych wygodnie pomieścić się może; przy każdéj sali jest kuchenka, wanna, osobne waterklozety i dwa oddzielne z jedném łóżkiem pokoiki, przeznaczone dla takich chorych, którzyby z powodu nieznośnych wyziewów, lub też szczególnéj niespokojności mogli być szkodliwymi dla innych. — Na salach zaprowadzone są łóżka żelazne, przeszło o półtora łokcia od siebie odległe, między łóżkami stoliki, przy łóżku spluwaczki, a na ścianie zegar i termometr. — Oprócz trzech pawilonów, w drugiém podwórzu, w głębi ogrodu jest pawilon czwarty, wyłącznie dla chorób epidemicznych przeznaczony.

Po zaprowadzeniu do szpitala klinik Szkoły Głównéj (1864 roku) w pawilonie tym czwartym na pierwszém piętrze urzędzono klinikę chorych na oczy, pod kierunkiem profesora Szokalskiego. W roku 1867 jedna z sal na dole została użytą na urządzenie, sposobem próby, oddziału chorych homeopatycznie leczyć się mających.

Wszedłszy do szpitala przez drzwi główne, przybywamy do obszernego i wspaniałego przedsionka, który na lewo prowadzi do kancellaryi administracyjnéj, zaś na prawo do kancelaryi lekarskiéj, gdzie prócz tego odbywa się przyjmowanie chorych i mają miejsce ambulatorya lekarskie.

Sciana przedsionka wchodowi przeciwległa ozdobiona jest wmurowaną tablicą pamiątkową, z napisem:

„Za panowania ALEXANDRA II-go, Cesarza Wszech Rossyi, Króla Polskiego, Wielkiego Księcia Finlandzkiego etc. etc. etc. i z Jego Monarszéj szczodrobliwości wzniesiono ten gmach w roku 1860, na pomieszczenie szpitala ś. Ducha."

Z jednéj strony téj tablicy umieszczono zegar, a z drugiéj dobrze uregulowany barometr.

Kaplica szpitalna gustownie i z pewną okazałością wystawiona, obrazem „Zdjęcie z krzyża Chrystusa Pana" professora Chozroe Duzy wenecyanina ozdobiona, służy do odprawiania codziennego nabożeństwa, o godzinie 6-éj rano.

Na pierwszém piętrze głównego gmachu, urządzonych jest 10 oddzielnych pokoików, dla chorych mężczyzn leczących się za opłatą, z osobną łazienką i waterklozetem, korytarzem w zimie ogrzanym połączonych.

Obok pokoików na témże piętrze jest pomieszkanie Naczelnego lekarza. —Wchodząc do pokoików w entresolach urządzone jest skromne ale wygodne pomieszkanie kapelana szpitala.

Od kaplicy idzie główny korytarz, w środku którego wzniesiona jest budowla jednopiętrowa, w któréj na parterze znajduje się pomieszkanie dla sióstr miłosierdzia, kuchnia szpitalna, spiżarnia i apteka.

Na pierwszém piętrze tegoż środkowego budynku, mieści się 12 pokoików oddzielnych, szerokim korytarzem połączonych, dla kobiet chorych, za opłatą.

Sala operacyjna z dwóch stron i z góry oświecona.—Sala sekcyjna, grabarnia, kaplica przedpogrzebowa, mają odpowiednie pomieszczenie.—Wszystkie oprócz tego pomieszczenia są praktycznie urządzone i odpowiednie celowi.

Ogrzewanie sal chorych, korytarzy i kaplicy odbywać się miało za pomocą kaloryferów; jednak gdy te ciągle ulegały psuciu, skasowano je i zastąpiono piecami.

Oświecenie szpitala w porze nocnéj odbywa się za pomocą odpowiednich lampek olejowych, a korytarzy za pomocą gazu.

Skoro wentylacyja za pomocą maszyny urządzoną zostanie, to odbywać się będzie w stosunku stóp kub. 2,120 na godzinę, dla jednego chorego.

Woda z wodociągów miejskich rozprowadzoną jest w całym zakładzie. Kanalizacya zaprowadzona jest przez kanały murowane na cement i rury gliniane.

W gmachu tak wzorowo urządzonym, leczenie chorych odbywa się podług zasad dzisiejszéj nauki lekarskiéj.

Szpital, oprócz głównego wejścia, ma dwie bramy: jedna prowadzi na podwórze gospodarskie i służy do zaopatrywania szpitala w potrzebne artykuły żywności i inne do gospodardarstwa należące; druga służy do wyprowadzenia z kaplicy przedpogrzebowéj umarłych na miejsce wiecznego spoczynku..

Ktoby z osób interesowanych pragnął znać inne szczegóły tyczące się szpitala ś. Ducha, tak co do historyi jego urządzeń, jak środków utrzymania szpitala, lekarzy, opiekunów tegoż zarządu i tak daléj, odsyłam go do świeżo ukończonego opisu tegoż szpitala, szczegółowo i dokładnie opracowanego przez Naczelnego Doktora medycyny Franciszka Groera, z którego to opisu niniejszą krótką wzmiankę czerpiemy.

Dr. A. Przystański.

CHRYSTUS W CIERNIOWÉJ KORONIE.

(Rzeźba Karola Eauera).

Rodzina Eauerów, zamieszkała w Prussach Nadreńskich, w miasteczku Kreutzenach, od dawnych czasów zasłynęła po całych Niemczech z wysokiego rzeźbiarskiego talentu. Ostatnim i najświetniejszym jéj przedstawicielem jest Karol Eauer, którego prześliczny utwór: „Chrystus w cierniowéj koronie," z marmuru kararyjskiego wykonany, nasz drzeworyt przedstawia. Artysta dzieło swe wykonał w Rzymie w 1864 roku i przeznaczył je do kościoła katedralnego w Szwerynie.

GERTRUDA KOMOROWSKA.

(Dalszy ciąg).

Gdy się nie udało ściągnąć do Krystynopola Gertrudy, postanowiono użyć za narzędzie człowieka na którym w całém zajściu wielka wina ciążyła; czytelnik się domyśla że to był ochmistrz Szczęsnego, który tolerował jego potajemne do Suszny wycieczki, Karol Sierakowski, starosta zanidecki. Wojewoda wezwał Sierakowskiego do siebie i kazał mu wziąć ludzi, powóz, konie, pojechać do Suszny (było to jeszcze przed przeniesieniem się Komorowskich pod Lwów), opasać dwór i dobrowolnie lub przemocą zabrać Gertrudę. Ale Sierakowski choć także nie był jak stal hartowny, bo się potem tłumaczył w sposób poniżający ze swych czynów, wpraszał się napowrót w łaski wojewody, a do kieszeni Szczęsnego o nagrodę za swą przysługę kołatał—nie odebrał jednak miękkiego wychowania, któreby go zrobiło lalką i mazgajem albo prostą maszyną do wykonywania rozkazów. Padł więc do nóg wojewodzie, oświadczając, że życie swoje oddaje na jego rozkazy, lecz do domu w którym go gościnnie przyjmowano, jako nieprzyjaciel i gwałtownik nie wejdzie.

Wojewoda umilkł i nie uraził się tą odmową, a w pierwszym popędzie wynagrodził szlachetną szczerość Sierakowskiego, dając mu nasypaną złotem tabakierę i prosząc o zachowanie tajemnicy o téj rozmowie.

Sierakowski jednak nie dowierzał téj łagodności magnata i nazajutrz przed wschodem słońca dosiadłszy konia uciekł z Krystynopola. Rozgniewany wojewoda kazał jego rzeczy wyrzucić z pałacu i spalić, a sam zaczął szukać powolniejszych na swoje rozkazy sługalców, działając nader prędko i energicznie, chociaż ostrożnie, bo sam ani namawiał, ani wysyłał ludzi, ale powtarzał głośno w obec wszystkich, że ma tylu ludzi, że wszyscy widzą jak się gryzie, a żaden się nie domyśli w czémby mu dopomódz, żeby tę „awanturnicę" zamknąć w klasztorze.

Pańskie słowa nie zostały bez echa; znalazło się gotowych do usługi, w nadziei wielkiéj nagrody, aż dwóch: dowódca kozaków nadwornych Aleksander Dąbrowski i podkoniuszy Wilczek, o których wyprawie do Suszny już wspominaliśmy. Ci dobrali sobie do pomocy jakiegoś Grabowskiego, dwoch żydków Abramka Judkę i rudego Wolfa Szmujłowicza, wzięli bandę kozaków dworskich i puścili się za Komorowskiemi.

Komorowscy przenieśli się już wówczas z Suszny do Nowosiołki, pod Lwowem. Dwór ich składał się z dwudziestu kilku ludzi, była to jednak siła dość słaba w stosunku do liczby najeżdżających, których było przeszło półtorasta.

Napastnicy — porównajmy ich z maskami poematu — pomazali sobie sadzami twarze i udawali rosyjskich kozaków szukających konfederatów, których wowczas po okolicy ścigano, otoczyli dom cały i kilkunastu z bandy w dziwacznych strojach wpadło do pokoju gdzie Komorowscy siedzieli z córką. Wpadłszy, dali kilka wystrzałów z broni kulami nabitéj, gdyż kule później sąd w ścianach znalazł, i zaczęli bić i rozpraszać lokai i hajduków, stół do wieczerzy zastawiających. Komorowski z żoną i córką schronił się do drugiego pokoju. Strzelono za nim, kula przeleciała mu mimo ucha. Jeden z przyjaciół Komorowskich, Trzaskowski Łukasz zatrzymał ich u drzwi do tego pokoju, wybili drzwi i Trzaskowskiego flintami pobili, a nawet samą Komorowską, matkę Gertrudy, powalili na ziemię i bić chcieli, ale ją Trzaskowski własném ciałem zasłonił; a wreszcie spostrzegłszy starościankę bełzką, Gertrudę, ukrytą pod łóżkiem, z pod którego koniec jéj zielonéj kitajkowéj spódniczki

wygladał, porwali ją i bez futra, bez najmniejszego na ciężki mróz opatrzenia, wywlekli.

Biedna kobieta była w tym stanie, który już w starożytności, gdy poszanowanie niewiasty nie było jeszcze takiém jakiém je uczyniła religja chrześcijańska, umiano uczcić jak należy. Najwyżsi dostojnicy Rzymu, konsulowie, w orszaku odpowiednim swéj władzy, składali hołd i ustępowali drogi niewieście mającéj dać życie przyszłemu obywatelowi...

Porwawszy, zaniesiono Gertrudę na sanie. Tam były przygotowane pierzyny i poduszki, nie tyle dla osłonięcia nieszczęśliwéj od zimna, ile dla stłumienia jéj krzyku służyć mające. Sanie ruszyły galopem, lecz zaledwie się trochę oddalono od miejsca, najezdników zatrzymała przeszkoda. W lasku pod Nowosiołkami spotkali mnóstwo fur z pszenicą ciągnących do dworu. Na drodze wyminąć się nie było można, musiano czekać aż fury przejadą; aby zaś krzyków i jęków ofiary nie było słychać, oprawcy coraz mocniéj naciskali poduszki i gdy przejazd stał się już wolny, znaleźli tylko... jéj martwe ciało.

Wilczek i Dąbrowski przerażeni naradzali się co począć z trupem, izałatwili się z nim najkrótszą procedurą zbrodniarzy. Zawieźli go do strugi pod wsią Rekliniec (w pow. żółkiewskim w Galicji) płynącéj, a że woda była zamarzła, więc wyrąbali lód i ciało nieszczęśliwéj wepchnęli w przerębel.

Było to — za dwa dni sto lat właśnie upływa — 13 lutego 1771 r.

Niedaleko od miejsca gdzie się to stało, był folwark należący do dóbr Krystynopolskich. Ekonom tego folwarku Kossowski, na wiosnę między krą połamaną spostrzegł pływające ciało. Swiadomy z opowiadań wypadku, po zielonéj kitajce spódniczki poznał trupa Potockiéj, wydobył go więc wraz z gumiennym i grób wykopawszy pochował.

Kossowski otrzymał za to łaskawy chleb od Potockich.

W ten sposób nie kościół, ale zbrodnia dała Szczęsnemu rozwód tak upragniony przez rodziców—i takie były losy Gertrudy Komorowskiéj, okropny dramat, któremu literatura nasza jeden z najpiękniejszych poematów zawdzięcza.

Co się stało z Gertrudą po porwaniu, było długo tajemnicą i dla jéj rodziców i dla świata.

Dąbrowski i Wilczek pospieszyli do wojewody ze straszną wieścią. W gniewie z rospaczą graniczącym na tę ohydną wiadomość, wojewoda wystrzelił do Dąbrowskiego i mało go nie zabił. Potem jednak, rozmyśliwszy się zimniéj, uznał, że potrzeba ukryć głównych sprawców zbrodni, aby się w niéj udział jego nie wydał. Porozsyłał ich zatem pod zmienionemi nazwiskami do rozmaitych zamków i miasteczek swoich, gdzie Wilczek i Dąbrowski na ekonomskiéj służbie dokonali życia. Dla tym lepszego zaś ukrycia prawdziwego stanu rzeczy, wytoczono proces o rozwód z nieżyjącą już Gertrudą. Przed wojewodziną zatajono prawdę, Szczęsnego wysłano zagranicę. W chwili wyjazdu dowiedział się on o wypadku i byłby sobie ze zgryzoty niezawodnie życie odebrał, gdyż nawet raz już gardło sobie podrzynać usiłował, ale go powstrzymano i ciągłym dozorem odwiedziono od téj myśli. Nosił on na piersiach aż do zgonu minjaturę Gertrudy i z nią pochowanym został.

Wypadek ten był na rękę nieprzyjaciołom Potockich i wywołał niesłychane oburzenie. Obruszyli się także, poseł Saldern i dowódcy wojsk rosyjskich, ponieważ napastnicy pragnęli zrzucić napaść na te wojska.

Musielibyśmy drugie tyle a może i więcéj napisać, gdybyśmy chcieli opisać szczegółowo proces jaki się następnie między Komorowskimi i Potockimi wywiązał, nie chcąc jednak nad miarę przedłużać artykułu, odsyłamy czytelnika do dzieła J. I. Kraszewskiego p. n. *Starościna Bełzka* (2 tomy Warszawa 1858) podług którego głównie i powyżéj podany opis skreśliliśmy; tu zaś podamy tylko niektóre ważniejsze fakta.

Potoccy walczyli pięniędzmi i ogromnymi wpływami, Komorowscy mieli za sobą tylko głos opinji i swoję krzywdę. Wojewoda który przychorował ten okropny wypadek, chciał zrazu pieniędzmi kupić zgodę, ale to się nie powiodło. Komorowscy choć stosunkowo biedni, nie chcieli wchodzić w targ o krew swéj córki.

Szczęsny powolny rozkazom ojca bawił zagranicą niedaleko od kraju i prowadził proces rozwodowy, a raczéj prowadzono go w jego imieniu, a on wszystko co mu przysłano podpisywał. Pilnowano go najściśléj, żeby nie wszedł w jakie stosunki z Komorowskiemi, albo żeby go nie wykradli rodzice żony.

W d. 23 listopada 1771 r. zapadł dekret Stolicy Apostolskiéj za staraniem Komorowskich, aby sprawa rozwodowa do Rzymu odesłaną została. Komorowscy zaś w owym czasie, już w dziewięć miesięcy po śmierci córki, jeszcze o jéj losie nie wiedzieli.

W pierwszych dniach stycznia 1773 r. umarła matka Szczęsnego, dowiedziawszy się, jak piszą współczesne pamiętniki, o losie Gertrudy i całym przebiegu téj sprawy, co jéj zapewnie ostatnie chwile zatruło. W tymże roku, jeszcze przed ukończeniem procesu o rozwód, d. 22 października, umarł prawie nagle ojciec.

Szczęsny był już wolny od despotyzmu rodziców.

W dwa tygodnie po śmierci ojca, Komorowscy listownie domagali się od niego, ażeby powrócił do związków zaprzysiężonych i wydobył swą żonę z ukrycia, będąc już panem swéj woli. Nie wiemy czy ten list doszedł Szczęsnego, będącego wówczas zagranicą. W styczniu 1773, Komorowski pojechał do Lwowa, aby się tam spotkać z zięciem i uroczyście go zapytać, czy chce żyć z żoną i co się z nią stało?...

Co się stało?... wiedzieli obaj jak najlepiéj. Potoccy jednak przyznać się nie chcieli że wiedzą, Komorowskim zaś z interesu wypadało nastawać na Potockich aby prawdę wyjawili. (d. n.)



CHRYSTUS W CIERNIOWEJ KORONIE. (Str. 43.)

KILKA SŁÓW
o dawnych błaznach.

Błaznem albo trefnisiem nazywano dawniéj człowieka dowcipnego, pełnego humoru, którego jedynym obowiązkiem było bawić, śmieszyć i rozrywać pana u którego służył, jak również gości doń przybywających. Mógł mówić każdemu co mu się podobało, a nikt nie śmiał się o to gniewać ani go zaczepiać ze złości, bo byłoby to dowodem niemałego poniżenia. Sam pan tylko mógł mu nakazać milczenie.

Aby ich rozróżnić od reszty służby, dawano im i strój osobliwy, śmieszny, jak pajacom i arlekinom. Ubierano ich w kapotkę dłuższą lub krótszą, jakiegokolwiek koloru, z kapturem szpiczastym na głowie, przy którym wznosiły się uszy sarnie i pobrzękiwały dzwonki. W ręku nosili pałeczki lub małe, drewniane cepy z lisimi ogonami, u nóg, przy obówiu niektórzy także przypinali sobie coś nakształt skrzydeł i sarnich niewielkich uszow,—dopiero w takim kostiumie rozśmieszali i do rospuku doprowadzali wszystkich obecnych widzów. W rękopiśmie Bema będącym w bibliotece Akademji Krakowskiéj, i w wydanym rodowodzie familji Szydłowieckich, przez Działyńskiego, mamy zachowany ciekawy ubiór błaznów polskich.

Co mogło przywieść tych ludzi do wzięcia na się i szaty i roli błazeńskiéj, jaki mieli powód stania się pośmiewiskiem u osób wszelkiego stanu i przekonań—nie wiadomo. Może zmuszeni byli do tego z natury, przez wrodzony im dowcip; może chęć chłostania przywar i złych obyczajów włożyła im na skronie arlekińską czapkę; może pragnienie mówienia prawdy w żartach tym, którym inaczéj niktby jéj się mówić nie ośmielił; może zarobek, bieda; może... ha, kto to wie co się tam w ich sercu działo—dość że pogardzać ich pamięcią wcale nam się nie godzi, choćby tylko dla tego samego, kogo też to oni bawili....

Początek błaznów odległéj sięga starożytności, a ślady ich napotykamy u wszystkich prawie narodów. Niemcy mieli swoich Hanswurstów, Kasperlów,—Francuzi Żokrysów i Trufaldynów, — Hiszpanie Graciozów. Kalderon i Szekspir, nieraz wspominają o nich w swych dziełach. Lud nasz do dzisiejszego dnia w niektórych okolicach przechował jeszcze pamięć ich, w uroczystościach zwłaszcza weselnych, kiedy to raźny a dowcipny parobczak, przebrany pociesznie, z wiéchą w ręku, wyskakuje przed śmiejącą się drużyną, bawiąc ją swymi figlami i konceptami, i przywodząc zadowolonych do rozpuku. Na Szląsku, jak pisze Wójcicki, w pobliżu Wrocławia, po wielu wsiach polskich przechował się zwyczaj, że równo ze świtem pierwszego dnia Zielonych Świątek, parobcy pasący konie, wyjeżdżają na gonitwy. Kto pierwszy stanie u mety, zostaje królem, kto ostatni—*Rochwistem*. Młodzież wraca do domu, mając króla na czele, a *Rochwist* służy mu za błazna, którego obowiązkiem jest bawić i rozśmieszać wszystkich.

Niektórzy znajdują już u nas błaznów w XIII wieku. I nic w tém dziwnego, gdyż zagranicą jeszcze wcześniéj widzimy ich ślady, a przy częstych stosunkach z Zachodem, łatwo do nas przejść mogli nawet w XI wieku. W XIV w. wiadomo jest, że Kazimierz Wielki miał nadwornego błazna, ale niestety nie znamy jego nazwiska. Prócz niego, nlubionym trefnisiem tego króla, był kmieć krakowski, niejaki *Kur*. Łukasz Gołębiowski w swém szacowném dziełku: *Domy i Dwory* na str. 229 wspomina: że Jagiełło miewał także nadwornych błaznów, co mu nieraz Zbigniew Oleśnicki wyrzucał. Do najdawniejszych jednak należy *Bieniek* czyli Bieniasz, u Krzysztofa Szydłowieckiego służący. Wesoły, ujmujący w żartach, nikogo starał się nigdy nie obrazić, dla tego też miał wielu przyjaciół. Szydłowiecki często był smutny. Pewnego razu gdy jakiś tęskny i zadumany siedział sobie w oknie, nagle zjawia się Bieniek na dole, odsadza się jak kozioł i chce skoczyć do góry. Gdy mu się to nie udało, próbuje jeszcze raz, drugi i trzeci, nareszcie zniecierpliwiony, przystawia drabinę i włazi.

— Bieńku, co robisz? zapytał go Szydłowiecki.

— Nie mogąc skoczyć panie do ciebie, wszedłem przeto najwygodniéj po drabce. O! gdybyś i ty mnie chciał naśladować, nie smuciłbyś się panie tak często, ale wchodziłbyś zawsze prosto i wygodnie tam, gdzie ci się zdaje że przeskoczyć nie możesz.

W czasie pewnéj uczty, licznie zebrani z różnych stron goście, kpili sobie z niego co tylko mogli. Zniecierpliwiony nakoniec rozmaitymi przycinkami i dogryzkami, tak im odpowiedział:

— Wiedzcież jaki to ze mnie nie lada pan, większy nawet od Szydłowieckiego; bo gdy on zaledwie jednego ma błazna, ja mam ich tylu ilu jest tu was.

Nadgrobek jego mówi, że był bardzo pobożnym i miłosiernym.

Ale najwięcéj błaznów i trefnisiów widzimy u nas w XVI wieku, w wieku złotym literatury, handlu i ogólnego dobrobytu. Były to czasy, w których błazna uważano za rzecz tak potrzebną po dworach, jak doktora dla zdrowia, jak księdza dla spokoju sumienia, wyrażając się słowami p. Wójcickiego.

Po nad wszystkich przecież z owéj epoki świeci nam sympatyczna postać *Stańczyka*. Stańczyk nie był tak dalece błaznem, jak go sobie niejeden wyobraża. Jest to historyczny i w swoim rodzaju znakomity typ z naszéj przeszłości, którego dotąd może nieoceniono sprawiedliwie. Oprócz niego, mamy jeszcze z tych czasów wspomnienia kilku innych królewskich trefnisiów, jako to: *Gąski*, którego Jan Kochanowski wspomina w swoich Fraszkach, ks. III, mówiąc: Już nam Gąska nieboże, nie będziesz błaznował. Ale jak go tu równać ze Stańczykiem? Gąska był sobie poprostu błaznem i kuglarzem, który tańcował, skakał, śmiał się, lub z chłopcami po ulicach swywolił, na którego ośmdziesiąt lat śmierć czekała żeby co do rzeczy powiedział, a nie mogąc się tego docze-

kać, wzięła go takim jakim był. Dalėj, mamy jeszcze wzmianki o *Natręcie* i *Rialcie*, ale ci razem wzięci nie mieli tyle sławy, zdrowego rozsądku, tyle trafności i prawdy w swoich powieściach i żartach co Stańczyk. O żadnym z nich nie napisano tyle co o tym ostatnim. O Stańczyku czytaj w Orzechowskim, Bielskim, Górnickim, Kochanowskim, a z nowszych w Kraszewskim (Lwowianin z r. 1840) i Wójcickim (Obrazy narodowe T. I. 1843 r.). Nawet sławny na polu malarstwa nasz mistrz Matejko, unieśmiertelnił nam i prawie wskrzesił na płótnie, genialnym swym pędzlem, tę sympatyczną postać XVI stulecia, znaną już publiczności tak z oryginału jak i z licznych w tutejszych illustracyjach reprodukcyj. Bo też zaprawdę godzien był tego Stańczyk. To pierwszy satyryk XVI stulecia wyższy nad wiek w którym mówił prawdę, śmiejący się ze wszystkich, chłoszczący wszystkich a niebojący się nikogo.

Urodzony w Proczowicach, czy też gdzieś około Proszowic, przetrwał na dworach królów, na niewdzięcznėm rzemiośle mówienia prawdy, bardzo długie lata. Karyerę swą rozpoczął za Aleksandra a skończył na Zygmuncie Auguście. Rej oddawał mu pochwały że zawsze prawdę mówił i żałuje że więcėj podobnych ludzi wtenczas nie było.

Oto kilka przykładów jego dobrego humoru i prawdomówności:

Jednego razu, był zaproszonym do pewnego pana. W obec wielu gości toczyła się rozmowa, jakiego też stanu najwięcėj ludzi na świecie? Każdy mówił co innego: ten krawców, ten szewców, ten innych rzemieślników. Stańczyk stojąc podle za czyjémś krzesłem odezwał się na to:

— Najwięcėj jest lekarzów na świecie, ot, jeśli nie wierzycie W. Mość, pokażę ich stu w Krakowie, w przeciągu trzech dni.

Aż któreńś z przytomnych panów obróci się i ofiaruje zakład o 100 złp. Przyjmuje Stańczyk i tak się rozchodzą. Nazajutrz zawiązał sobie gębę i chodzi po mieście skrzywiony od jednego do drugiego. Pytają się: — co ci Stańczyk, czyś nie chory! Gęba mi opuchła, odpowiada, od strasznego bólu zębów. Aż tu każdy dyktuje mu lekarstwo najpewniejsze od bólu zębów, co kto tylko umiał. Stańczyk miał kałamarz u pasa i kartę, i spisywał doradców, tak ich już długi rejestr napisał. Nareszcie na trzeci dzień, jeszcze z zawiązaną gębą przychodzi do owego pana.

— A co to ci Stańczyk? powiada on.

— Strasznie mnie zęby bolą.

— Ot ja cię zaraz uleczę; poszlij tylko do apteki po piretrum, i chmiel w occie umoczony, płócz tém gębę. Skłonił się trefniś, nic nie rzekłszy; aż gdy przyszła pora zakład rozwiązać i zebrali się wszyscy, on prosi, żeby mu wolno było czytać rejestr. Słuchają więc. Na przodzie położył tego z którym się założył.

— A cóż to, albom ci ja lekarz?

— Przecież mi W. Mość na zęby lekarstwa nauczył.

Wszyscy w śmiech i 100 złotych wygrał Stańczyk. (Czytaj: *Dworzanina Górnickiego*).

Jakiś znajomy prosił go o pożyczenie opończy.

— A co tam na dworze, zapytał.

— Pogoda.

— A, pogoda, to W. Mości opończa niepotrzebna.

— A jeśli będzie deszcz?

— To ja ją sam włożę.

W roku 1533 Zygmunt Stary otrzymał bardzo wielkiego niedźwiedzia, którego w skrzynce przywieziono. Król postanowił wielkie na niego łowy wyprawić. Gdy go więc wypuszczono w gaju i poszczuto psami, rozjuszona bestja rzuciła się z rykiem i wrzaskiem na króla, królowę i na całą obławę. Zygmunt i Bona musieli dla niebezpieczeństwa uciekać; toż samo zrobił i towarzyszący im Stańczyk. Śmiał się potém król z niego mówiąc:

— Począł ci sobie nie jako rycerz, ale jako błazen, żeś przed niedźwiedziem uciekał.

— Większe to głupstwo, odpowiedział Stańczyk, tego co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoję szkodę. (*Bielski*).

Nadzwyczaj trafnie karcił także Stańczyk niewieście obyczaje i wkradającą się między nie wystawę i miękość. Widząc niesione do kościoła przez lokai za paniami do klęczenia poduszki, pytał żartobliwie:

— Czy one tam spać będą?

Zygmunt Stary nigdy się na niego nie gniewał; przeciwnie zaś Zygmunt August, który już rozpieszczony i trochę zepsuty, nie rad słuchał docinków i przymówek Stańczyka, nieobwijającego prawdy w bawełnę, ale rąbiącego ostro i z góry. Był zwyczaj, iż na Nowy Rok rozdawano dworzanom królewskim po kilka par nowych sukien ze skarbca. Otóż raz Zygmunt August nic nie dał Stańczykowi. Kiedy więc każdy cieszy się i raduje otrzymaną kolendą, Stańczyk z pochyloną siwą głową stanął sobie na boku i wzdychał.

— Cóż ci to, zapytali panowie, alboż cię nie cieszy rok nowy?

— U mnie nie nowy, bo suknia nie nowa, rzekł pocichu pokazując połę.

Usłyszał to król i wstydząc się swego gniewu, suknię mu ze skarbca wydać kazał.

Oto są niektóre trafne dowcipy Stańczyka, dowodzące nam że nie był on zwyczajnym dworackim błaznem, pobudzającym bezsensowemi kuglarstwami do śmiechu, ale że był człowiekiem myślącym, prawdomównym, a w gruncie serca zacnym, poczciwym a nawet czułym na swoję i innych niedolę. Widywano go bowiem nieraz gorzko płaczącego nad grobem swego dobroczyńcy Zygmunta Starego.—Bony nie cierpiał, i nazywał ją *włoską gadziną*. Kiedy do Włoch wyjeżdżała, śpiewał jėj, niby wieszczym duchem, *requiescat in pace!* co się też niedługo sprawdziło.

Na zakończenie, wspomnieć jeszcze muszę o *Jaśku* błaźnie u Piotra Kmity.

Raz, Kmita był na królewskim dworze. Jasiek uchwycił wtedy za kraj sukni królowėj Bony i prosił za swoim panem aby zastąpić mógł miejsce Zygmunta Starego. Bona zsiniała od gniewu, a Kmita w uniesieniu wyciął mu potężny policzek. Kiedy potem konał na śmiertelnym łożu, a jego błazen zabawiał go jeszcze żartami, kiedy nareszcie osłabiony zaniemówił i wkrótce umarł, mściwy Jasiek, pamiętny swojėj obrazy, trupowi Kmity oddał w odwecie policzek i uciekł z zamku, w obecności kilku zdumionych sług.

Na dworze Zygmunta III znajdowało się aż po kilku błaznów. W XVII wieku głośniejszymi byli: *Słobikowski*, *Zięba*, Włoch *Guzman*, *Wojtaszek* i słynny za Jana III *Winnicki*. Za Augusta III jeszcze ich napotykamy, ale za Stanisława Augusta — byt ich nadworny już się ostatecznie zakończył.

Że zwyczaju utrzymywania błaznów i trefnisiów, powstało w naszym języku wiele przysłów, które się w zbiorze Rysińskiego i Knapskiego przechowują.

Franciszek Gumowski.

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

W komnacie na pierwszém piętrze zastaliśmy na dawnėm miejscu żółtego wujaszka, ale się mocno podstarzał i podponiewierał biedaczysko. Żółty frak zrobił się prawie szarym, pod grubym pokładem kurzu, twarz spłowiała jak na trupie, a biała pudrowana peruka zczerniała do niepoznania.

— Witam! mości generale!

— Czołem—żółty wujaszku! — zawołaliśmy oboje z Helenką, patrząc na stare, okurzone malowidło.

Żółty wujaszek, z gwiazdą orderową na piersiach, z trójgraniastym kapeluszem pod pachą stał jak przed laty i patrzał przed siebie surowym i przenikliwym wzrokiem, ale mimo to zdało się mi jakoby twarz jego na nasze powitanie rozpogodziła się nieco i jakoby starowina się cieszył żeśmy go sobie przecież przypomnieli.

Tak staliśmy chwilę patrząc—i dawne czasy dzieciństwa stanęły nam żywo przed oczyma. Spojrzałem na Helenkę, śliczna jėj postać odbijała cudnie od starych murów i zakurzonego konterfektu.

— Panno Heleno — rzekłem — czy pamiętasz, jakeśmy się to dawniėj przestraszyli poczciwego generała! Wtenczas panna Helena była maleńką Helenką i tuliła się do mnie, a ja obejmowałem ramieniem jėj drżącą od trwogi kibić!...

I pod wpływem tėj miłėj reminiscencyi, ująłem ramieniem pannę Helenę i chciałem ją jak dawniėj objąć uściskiem...

Helenka chwilkę się nie opierała i dłoń jėj maleńka spoczęła w mojėj — ale nagle oblała się pąsem wstydu, wyrwała się jak wiewiórka i uciekła na schody, wołając z czarownym śmiechem:

— Zadługo pan Józef pamięta i zanadto śmiało przypomina! I jak lotna sarneczka zbiegła szybko na dół.

Ja tymczasem zostałem na górze, ścigając ją rozkochanym

wzrokiem—a gdy mi zniknęła, spojrzałem na żółtego wujaszka, który zdawał się na pół ironicznie, na pół dobrodusznie uśmiechać.

— Za mną, mości generale—zawołałem—pójdziesz waszmość z wieży, bo ci tu nudno może. Śmiejesz się waszmość ze mnie, że mi się panna Helena podobała, a sam to Niemkinie ładne lubisz, niecnoto! Przebierzemy cię ładnie: dam ci frak nowy, żółty, upudruję werżet i pizony i pozłocę order, bo kaducznie zblakował. A na twarzy przyda się także trochę barwy, bośmy się postarzeli mocno, mości generale saskiego autoramentu! Ale za to pamiętaj waszmość, że przysięgam na twoję szpadę generalską, że panna Helena musi być moją, jakem żyw, choćbym prosić miał o protekcyą dla mnie w téj sprawie Lucypera, twego kamrata, u którego na odwachu siedzisz, boś był farmazon, mości generale, i ładne Niemkinie lubiłeś! Czy tak?...

Puste te i całe niemądre słowa wyrzekłem w napadzie dobrego humoru, bo mnie mała przygódka z panną Heleną rozweseliła— ale ledwiem je wyrzekł, usłyszałem głuchy, rozbity głos:

— Tak.

Lęk mnie wziął mimowolny i wpatrzyłem się z trwogą na żółtego wujaszka, czy to on naprawdę wyzwanie przyjmuje... Było to jednak tylko echo, którém stare mury pustéj baszty powtórzyły ostatnie moje głośno wyrzeczone słowo. Choć atoli wytłumaczyłem sobie naturalnym trybem to echo, przykro mi było, że choć w pustocie i żartem wspomniałem imię panny Heleny razem z nieczystém imieniem księcia piekielnego, a że byłem w pobożnym wychowany domu, żałowałem szczerze tego głupiego żartu.

Wziąłem stary konterfekt, stuknąłem nim parę razy o ziemię, aby zeń trochę kurz uleciał, i władowawszy na barki zaniosłem do domu aby go odnowić. Choć, jak to sam już przyznałem, nie tęgi byłem w kunszcie malarskim, przecież tylem go połapał, aby poznać że portret żółtego wujaszka wyszedł z pod niepospolitego pędzla. Zajął mnie tedy tém bardziéj i z wielkiém zamiłowaniem rzuciłem się do odnowienia pana generała, który był świadkiem moich chwil najszczęśliwszych.

Ani się spostrzegłem jak minęło dwa lata od czasu mego powrotu do Basztokoła. Panna Helena zakwitnęła tymczasem całym blaskiem urody, z pączka wystrzeliła róża cudowna! Już teraz moje uczucia ku niéj wyłoniły się z niepewnéj mgły rojeń młodocianych, z naiwnych przeczuwań i przypuszczeń — mogłem już zformułować jasno mój stosunek do niéj: kochałem ją całą duszą, całém sercem, całą istotą moją.

Ale nie będę tu odgrzewał całéj téj historyi mojéj miłości—dla ludzi obcych nudną jest taka opowieść, może dla tego, że w żaden sposób nie zdołasz jéj wysnuć z siebie taką niebiańską tęczą barw i świateł, jaka ci w duszy się kryje.

Powiem chyba, że mimo wszelkiéj skromności, która kluczem wstydu zamykała różane usteczka Helenki i trzymała na wodzy jéj czarne oczki, nieraz z tych ustek wyrwało się ptaszkiem słówko, z tych oczek wystrzeliło promyczkiem spojrzenie, które kazało mi wierzyć, że nie kocham sam tylko, że mogę liczyć na wzajemność.

Starzy uważali dobrze co się święci i nie przeszkadzali temu. Znać trafiło to do ich życzenia. I oto raz, po długich, tajnych naradach pana Oleszy z moim ojcem, do których i ksiądz Ignacy był przypuszczonym, wziął mnie ojciec na konfessatę, a gdy padłem mu do nóg z wyznaniem mego gorącego afektu, napomniał mnie czule i poważnie, abym płocho téj świętéj rzeczy nie brał i kazawszy się ubrać świątecznie i sam tak się ubrawszy, zawiódł mnie do pana Oleszy, aby prosić o rękę panny Heleny.

Chwila ta rajska w mém życiu skończyła się na tém, że gdy Helenka, oblana rumieńcem i z załzawionemi od wzruszenia oczkami podała mi rączkę na zgodę, obsypałem te śliczną, białą rączkę niezliczonemi pocałunkami, tracąc przytomność od szczęścia, które zmieścić się nie mogło w sercu, od uniesienia i słodkiego zachwytu, który mi mącił głowę i o szał przyprawiał.

Potém padłem plackiem do nóg ojcu i panu Oleszy, i zanosząc się prawie płaczem ściskałem i całowałem ich drogie stopy, chyląc kornie głowę pod ich błogosławieństwem. Potém rzuciłem się znowu na kolana przed moją Helenką, a potém uczyniłem to samo przed księdzem Ignacym, który był temu obecny, a potém wreszcie przed panną Agnieszką, która płacząc z rozczulenia, broniła się zabawną wstydliwością panieńską przedemną, gdy począłem ściskać obcesowo i całować jéj kolana.

O Boże mój! co to za pełny był puhar rozkoszy i szczęścia, jak się przelewał uniesieniem niewypowiedzianéj radości! Ty sam Boże! uznałeś to szczęście za zbyt wielkie dla serca śmiertelnika, boś w surowéj mądrości swéj dozwolił losom, aby w puhar ten rzuciły gęste krople bólu ciężkiego i rozpaczy!...

Jakoż tak było w istocie. Czy myślałem wówczas, że za wieńcami, które oplotły dnie moje, czyha śmierć, że tuż za wschodzącém słońcem, pędzą czarne chmury, co światłu zazdroszczą?...

Zadaję poniekąd gwałt samemu sobie, że krótko zbędę wypadki, które po owym rozkwicie szczęścia nastąpiły. W wspomnieniach, szczęście i ból mają równie silny choć odmienny urok, ale nie wolno mi zapomnieć że to nie mają być marzenia samotnika, ale opowieść. Dla tego skąpym będę w słowach.

Zwaliły się na mnie niebawem ciosy bolesne, krwawe. Jeszcze nie wychyliłem puharu szczęścia, a już mi los gorycz podał obfitą. Zaledwie oznaczonym został termin ślubu i zaczęły się przygotowania do wesela, gdy nagle mój ojciec ciężko zaniemógł a po kilku tygodniach choroby, ducha swego prawego Bogu oddał. Osłoniło się kirem żałoby życie moje, niedawno tak opromienione szczęściem. Żal srogi, okrutny złamał duszę moję. Gdyby nie pociecha religji, gdyby nie czułe starania księdza Ignacego, pana Oleszy i panny Heleny, byłbym przeszedł z boleści w dziwny, głuchy stan martwoty, która już ołowiem osiadła była na strapionéj duszy.

Powoli jednak przyszedłem do siebie. Ból gwałtowny ustąpił rzewnéj żałości, uspokoiłem się, pogodziłem z wyrokiem Bożym. Ślub mój z Helenką odwlókł się na rok cały. Ani ja, ani ona nie bylibyśmy nigdy przenieśli, abyśmy mieli uklęknąć na kobiercu w obec nieporosłéj jeszcze mogiły ojca.

III.

Przyszedłszy nieco do równowagi, począłem myśleć o uregulowaniu spuścizny ojcowskiéj, o tym kawałku ziemi, która stała mi się teraz jeszcze stokroć droższą, od kiedy przyjęła na spoczynek zwłoki najdroższego mego ojca. Wkrótce z biegu interesów wypadło mi pojechać do Lwowa. Miałem tam odebrać małą sumkę, należącą się jeszcze ojcu, a dziś potrzebną mi bardzo do podratowania upadłego mocno gospodarstwa.

Nie potrzebuję opowiadać, jak niechętnie wybierałem się w tę podróż. Ale prędzéj czy późniéj, trzeba było się pozbyć interesu; a zresztą kiedy mi teraz tak trudno było rozstać się z Helenką, to późniéj, w pierwszych miesiącach małżeństwa byłoby to może niepodobieństwem.

Stanąłem we Lwowie szczęśliwie i szczęśliwie też sprawę moję załatwiłem. Sumka złożoną już była u pana mecenasa Szalborskiego, który ją był na przeciwnéj stronie wyprocesował. Był to mały rezultat wielkiego i długiego sporu prawnego. Mój niebożczyk ojciec miał pretensyą do masy pana Prota Potockiego, a pretensya ta zwróciła się późniéj przeciw jednemu z jéj sukcesorów.

Suma, o którą chodziło, była bardzo znaczna, pieniał się też mój ojciec o nią zawzięcie. Wygrał proces na krótki czas przed śmiercią, ale pretensya, nim przeszła przez wszystkie instancye, tak zmalała, tak ją niemiłosiernie obcięli panowie palestranci, że zrobiła się z niéj malutka kwota, ale zawsze, jak na moję fortunkę mizerną, dość okrągła.

Poszedłem do pana Szalborskiego i odebrałem sumę. Do tego Szalborskiego mój ojciec miał formalną słabość! Chodziła o tym mecenasie fama nienajlepsza, mówiono o jego kruczkach palestranckich siła złego, a nawet w złośliwych wierszykach przezwano go we Lwowie Szalbierskim. Ale mój ojciec, mimo odradzań ze wszystkich stron, powierzył mu swą sprawę. Nie wierzył pogłoskom i miał zaufanie do zręcznego mecencsa. Wogóle Szalborski mimo swéj niedobréj sławy, miał ogromną klientelę, bo uchodziło to u wielu pieniaczy za regułę, że w procesie lepiéj mecenasa mieć zręcznego, choćby nie ze wszystkiem uczciwego, niż prawego a w jurysteryi nie ostro kutego; bo pierwszy choć dla siebie połowę zarwie, to przecież coś wypienia, drugi i sam się natrudzi i klienta swego na koszt wyciągnie, a proces swoją drogą przegra.

To też pan Szalborski szydził sobie z czczych języków i z swych kolegów kausyperdów, bo wzięty był bardzo i majątek robił. Mój ojciec témbardziéj nie wahał się oddać mu się w opiekę, ile że pretensja jego była najsprawiedliwszą i najczystszą w świecie, a témsamem obawy być nie mogło, aby strona przeciwna przegrywając proces, krzywdy jakiéj doznała.

Mimo że pan mecenas Szalborski zasłużył sobie poniekąd na moję wdzięczność, czułem do niego wstręt niepohamowany. Ale bo też i jego cała powierzchowność nie wzbudzała żadnéj sympatyi. Był mały, chudy, z wzrokiem bystrym, kłującym i chytrym, a przytem trochę zyz i jak to mawiano dawniéj: szafran na głowie.

Przyjął mnie bardzo grzecznie i konfidencyonalnie, choć byłem młokosem naprzeciw niego, ale postępowanie jego było przytem bardzo dziwne i zagadkowe. Mierzył mnie ciągle swemi nieprzyjemnemi oczyma, wypytywał i zdradziecko się uśmiechał. Nie umiałem sobie zgoła wytłumaczyć jego postępowania i mimowolnie lęk

mnie przejmował, czy czasem frant stary nie zagiął parol na mnie. Zdarzało się bowiem za moich czasów, że taki niesumienny mecenas, jak pan Szalborski, wygrawszy proces dla jednéj partyi, szedł w usługi partyi przeciwnéj, otwarcie lub podszywając się pod którego z swych kolegów, i nękał potém pozwami tego, którego dawniéj był patronem.

Chciałem się już wysunąć z pod przenikliwości oczu i rozmaitych zagadkowych pytań pana Szalborskiego, i właśnie miałem powstać i pożegnać go, gdy naraz z drugiego pokoju wyszedł jakiś młody człowiek, wysoki i przystojny, ale blady i wymokły na twarzy. Ubrany był bardzo strojnie i na wzór ówczesnych elegantów, miał na sobie kubrak z wciętemi połami, z cienkiego, granatowego sukna, z złoconymi guzikami, i batystowe, fałdziste, śnieżnéj białości żaboty. Włosy utrefione były najmodniejszym kształtem, w uchu zamorskim obyczajem, kolczyk złoty, a przy kamizelce długiéj, racymorowéj, mnóstwo świecideł i bryloków.

Jakoś mi się nie podobał ten jegomość, bo choć był młody jeszcze, tak jak ja, miał coś z wczesnego starca w sobie i nieprzyjemny bardzo wyraz na gładkiéj a wybladłéj twarzy. Wydawał mi się tak, jakby był jednym z tych gamratów lwowskich, których się tyle było podówczas namnożyło przy zepsuciu stołeczném, a którzy obrażali przyzwoitość ludzką hulankami po kaffezimrach i winiarniach.

Wymokły gagatek wszedłszy do pokoju, wcale niepolerowanym sposobem, bo mi się nawet nie raczył pokłonić, przystąpił do pana mecenasa Szalborskiego i coś z nim mówić zaczął. Pan mecenas szepnął mu coś do ucha i nieznacznie, ale zawsze tak że mi to nie uszło, okiem w moję stronę mrugnął. Na to ów młody człowiek postąpił kilka kroków ku mnie i począł mnie mierzyć od stóp do głowy, z uśmiechem pogardliwym. Potem znowu spojrzał na pana mecenasa, i oczy ich, jakby znakiem porozumienia, skrzyżowały się nawzajem.

Mroczno mi było na takie zachowanie się gospodarza z gościem, więc też z marsem spojrzałem na gagatka, który nie dotrzymał poczciwemu a śmiałemu spojrzeniu i spuścił przygasłe oczy ku ziemi. Ja też tym jednym kontentując się sukcesem, skłoniłem się panu mecenasowi i wyszedłem z pokoju, mówiąc sam do siebie z indygnacyą:

— Licho ich wie, czemu tak gapili się na mnie, boć ubranym przyzwoicie, choć ze wsi przybywam. Gdybym tego człowieka po raz pierwszy nie widział w życiu, myślałbym że spisek jaki na mnie knuje.



Ubiór dawnych błaznów. (Str. 45.)

Mrucząc tak wyszedłem do kancelaryi aplikantów, przez którą trzeba było przechodzić. Pan mecenas Szalborski utrzymywał kilku aplikantów, a między nimi był jeden mój dobry znajomy i przyjaciel, znajomość jeszcze z lwowskiego konwiktu. Nazywaliśmy go Maziö, choć mu na imię było Dyzma. Dobry to był chłopak, towarzysz niezgorszy, tylko trochę tchórzliwego temperamentu. O nim też powiem więcéj późniéj, bo także odgrywał rolę w mojéj przygodzie. Witam się ja tedy z Dyzmą czyli z Maziem, a powitawszy się serdecznie pytam, coby za jeden był ten frant, co mnie tak od pięty do czupryny lustrował?

— To syn mecenasa, młody Szalborski — szepnął mi Mazio.

— A czemu tak nieobyczajny i czemu tak mrugał z ojcem ku mnie?—Mazio chciał mi coś odpowiedzić, gdy nagle wyszedł z swéj kancelllaryi sam mecenas i stanąwszy na progu, spojrzał na nas z ukosa. Dyzma się rzucił natychmiast do roboty, bo bał się jak ognia surowego mecenasa — a ja widząc że niema czasu do dalszéj rozmowy, zabrałem się do wyjścia.

Interes mój we Lwowie był załatwiony i mogłem natychmiast wracać do Basztokola. Byłbym też to zrobił bez zwłoki, bo i serce stęsknione rwało się do powrotu, a byłbym tym sposobem uniknął może tego wszystkiego, co spadło na mnie późniéj, gdyby nie moje zamiłowanie do malarstwa, które mi tą razą srogiego miało wypłatać figla. Idąc przez ulicę spotkałem mego kolegę z pracowni pana *Gracca*, który na mój widok aż wykrzyknął z uciechy i zadziwienia.

Opowiedziałem mu co robię i po co przyjechałem, gdy on mnie naraz zapytał:

— A kiedy jedziesz?

— Chciałbym dziś.

— Szkoda, nie jedź, zabawisz się z nami wybornie. Przyjechał tu znowu pan Stachowicz i malujemy dekoracye teatralne dla pana Bogusławskiego. Jest nas ośmiu przy téj robocie; malujemy bawiąc się pysznie. Zajrzyj a obaczysz.

W słabą mnie ugodzono stronę. Koleżka słowy temi wziął mnie od razu. Odwlokłem mój odjazd i poszedłem z nim do pracowni. Wesoło tu było i gwarno, aż miło. Przed ogromnemi płótnami, na małych drabinkach, malowali malarze i uczniowie dekoracye do Izkahara, do Amazonek i do innych sztuk, które pan Bogusławski miał wystawić w amfiteatrze, w ogrodzie Jabłonowskich. Śmiechu, gawęd, śpiewów i żartów było przy tém co niemiara, choć pracowano pilnie i bez przerwy.

Ledwiem to wszystko obejrzał, tak zaraz folgując ochocie zrzuciłem z siebie kubrak, przepasałem się pierwszym lepszym fartuchem, i nuże na jednę z wolnych drabinek, pomagać w robocie. Przyjęto mnie z śmiechem i oklaskami, dano farb i pędzli, i anim się opatrzył a już z planu skopiowałem boczną dekoracyą, z starożytnym ołtarzem.

I tak minął dzień jeden i drugi a ja nie wyjeżdżałem. Aż wreszcie minęło dwa tygodnie, a od czasu mego wyjazdu trzy nawet z okładem, i kto wie, czybym się jeszcze wyrwał tak prędko, gdyby nie list, który mi jednego dnia przywieziono z Basztokola. List ten był wyprawiony zaraz po moim odjeździe, ale że nie znano mego adresu, więc teraz go dopiero odebrałem. W liście tym zawierała się bardzo smutna wiadomość. Pisała go panna Agnieszka, donosząc, że zaraz na drugi dzień po moim odjeździe z Basztokola, pan marszałek zachorował niebezpiecznie, i że z tego powodu wielka rozpacz w domu panuje.

Do listu panny Kokorzyńskiéj dopisała się króciutko Helenka, prosząc mnie abym wracał natychmiast. Zmartwiłem się mocno tą smutną wieścią, ale gdy spojrzałem na datę i obliczyłem ile od dnia kiedy list był pisany minęło już czasu, zdjęła mnie trwoga i straszny owładnął niepokój. Począłem sobie robić gorzkie wyrzuty, że natychmiast po załatwieniu interesu nie wracałem do Basztokola, i zmartwiony, ciężkiemi obawami przejęty, zaraz pod noc wyjechałem.

Miałem przy sobie parę dzielnych i rączych jak iskry rysaków, a stary Onufry, którego z sobą wziąłem, popędzał co sił stało. Konie darły jak koty, pędziliśmy prawie bez żadnego popasu, choć ze Lwowa do Basztokola było trzynaście mil opętanych.

Jeszcze na parę godzin przed południem stanąłem w Basztokolu. Kazałem Onufremu jechać do mego dworku, a sam bliższą ścieżką pobiegłem na wzgórek do domostwa pana marszałka. Miałem jakieś złe przeczucie, coś mi tajemnie ściskało serce.

Stanałem przed bramą, była zamknięta. Począłem pukać, ale daremnie; nikt nie otwierał. Niepokój mój wzrastał coraz bardziéj. Przesadziłem tedy opłotek i znalazłem się na podwórzu. Pusto i cicho było na niém, jak na cmentarzu. Pies tylko zaszczekał z budy, ale poznawszy mnie ucichł wkrótce. Biegnę do drzwi, chcę otworzyć,—zamknięte. Pukam —nikt się nie odzywa. Chciałem zapukać do szyb, ale okiennice były przywarte... Zajrzałem przez serduszko do środka— widzę puste izby i sprzęty w nieładzie...

(d. c. n.)

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 29 Января (10 Февраля) 1871 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.